

WOJCIECH

CHMIELARZ

CIENIE

Komisarz Jakub Mortka

MARGINESY



**WOJCIECH
CHMIELARZ
CIENIE**

MARGINESY

– Jeszcze ich nie zabraliście? – zapytał Mortka.

– Chcieliśmy, żebyś zobaczył to na własne oczy.

Grudniowy poranek. Absolutnie najgorsza rzecz, która może się zdarzyć w tym kraju, który i tak nie słynie ze zbyt przyjemnego klimatu. Było zimno i mokro. Jesień zdychała w męczarniach i nawet wschód słońca w Milanówku niewiele tu pomagał.

Andrzejewski podał Mortce lateksowe rękawiczki. Komisarz włożył je bez słowa i wszedł do domu jednorodzinnego. W salonie technik kryminalistyki robił ostatnie zdjęcia. Na dźwięk kroków podniósł głowę.

– To na pana czekaliśmy? – zapytał.

– Chyba tak.

– Dokumentacja już zrobiona, ale i tak proszę niczego nie ruszać. Poza tym proszę się rozgościć.

– Dzięki.

Policjant stanął przy ścianie, obrzucając wzrokiem cały pokój. Najważniejsze było pierwsze wrażenie. Szczegóły, które się wtedy zapamiętywało, zostawały na zawsze. Dlatego patrzył w skupieniu.

Najpierw wystrój. Z zewnątrz dom wyglądał całkiem zwyczajnie. Wewnątrz czekała jednak spora niespodzianka. Marmurowe posadzki. Przykurzone, podniszczone i w wielu miejscach poplamione. Gipsowe kolumny udające greckie. Sztukaterie pod sufitem. Meble. Skórzana kanapa i fotele. Zbyt duże, wręcz gigantyczne. Ciemna skóra, podobnie jak podłogi, wymagała czyszcze-

nia i konserwacji. Obok szklany stolik. Pod jedną ze ścian wielki telewizor. Parę lat temu robił wrażenie, ale teraz był po prostu przestarzały. Wszystko przez kineskop. Pod drugą kominek. Od dawna nikt w nim nie palił.

Dom, który kiedyś był bogaty. Dom, który potrzebował pieniędzy.

Na podłodze lśniło szkło z rozbitych szklanek. W ścianach świeże dziury po kulach. Naliczył cztery. Niedaleko, mniej więcej pośrodku pomieszczenia, ciało kobiety w wieku około pięćdziesięciu lat. Blondynka w znoszonym dresie. Leżała na brzuchu. Głowa przechylona na bok. Usta na w pół otwarte. W dłoni pogrzebacz. Pod zwłokami kałuża zaschniętej krwi w kolorze bordowego lakieru, którym starsze kobiety malowały sobie paznokcie u stóp.

Mortka stanął kilka kroków przed ofiarą. Podniósł dłoń, jakby celował, i wymierzył z palca. Dziury po kulach znajdowały się w ścianie naprzeciwko niego. Pod stopami dojrzał błyszczące łuski.

– Tak – odezwał się technik z boku. – Strzelał do niej, kiedy pędziła, żeby mu przyłożyć tym żelastwem.

– To ona rzucała w niego szkłem?

– Tak to dla mnie wygląda. Wpadła do salonu. Zobaczyła, co się dzieje. Najpierw rzuciła w niego szklanką. Nie trafiła. To poleciała po pogrzebacz.

Mortka pokiwał głową.

– Marcin w ogóle jestem.

– Kuba.

Komisarz obszedł ciało z lewej strony. Przyjrzał się pogrzebaczowi. Na jego czubku nie dostrzegł żadnych śladów krwi. Prawdopodobnie nie zdołała zadać ciosu. Kula dosięgnęła ją wcześniej.

Półtora metra od niego na marmurze pojawiła się szkarłatna smuga. Ciągnęła się szeroko, wijąc się delikatnie i prowa-

dząc w stronę kolejnego pomieszczenia. Poszedł jej śladem. Minął gipsową kolumnę. Za progiem znajdowała się kuchnia, a do smugi dołączyły zakrwawione ślady rąk i palców. Półtora metra dalej czekało na niego kolejne ciało. Tym razem młoda kobieta. Dwadzieścia kilka lat. Kruczoczarne włosy opadały częściowo na twarz, częściowo na podłogę. Powieki przymknięte. Można by pomyśleć, że źle się czuje i położyła się tutaj, żeby odpocząć. Miała na sobie czarne obcisłe spodnie od kostiumu i białą bluzkę. Na wysokości brzucha zabarwiła ją na czerwono ogromna, lepka plama krwi.

– Postrzał w brzuch – powiedział technik z salonu. – Cholerne bolesna sprawa. Namęczyła się, zanim odeszła.

– Widzę.

Obok ciała leżał telefon.

– Dzwoniła do kogoś? – zapytał Mortka.

– Pod alarmowy.

– Co konkretnie powiedziała?

– Niewiele. Zdążyła tylko poprosić o pomoc.

– Kiedy przyjechała policja?

– Dziesięć minut po zgłoszeniu. Lokalne chłopaki z Milanówka.

– Widzieli coś? Kogoś?

– To nie do mnie.

– Jasne. Dzięki.

Lewą rękę dziewczyna trzymała na brzuchu. Próbowwała zatamować krwotok. Prawa leżała na podłodze, odcignięta nienaturalnie w bok. Zakrwawiona dłoń była nieznacznie odgięta. Na serdecznym palcu dostrzegł biały krąg skóry. Jedyne fragment, który nie był poplamiony.

Wrócił do salonu. Technik skończył już swoją pracę i czekał z założonymi rękoma. Wyglądał, jakby fucha przewodnika po domu sprawiała mu przyjemność. Mortka pokazał na schody prowadzące na górę.

– Jest tam coś?

– Coś tam jest, ale nic interesującego. Wszystko rozegrało się tutaj. Salon. Kuchnia.

– Rozumiem. – Komisarz podrapał się po brodzie. – Pokażesz mi go?

– A nie widziałeś?

– Nie.

– To chodź.

Technik poprowadził go z powrotem do kuchni. Podeszedł do blatu. Obok aluminiowego garnka i nadpalonej dawno temu bawełnianej szmatki leżał pistolet. Policyjny P99.

– Tutaj go znaleźliście?

– Tak.

– Nie ruszaliście? Nie przenosiliście?

– Nie. Sprawdziliśmy tylko numery seryjne, żeby wklepać w naszej bazie. I wtedy wyszło, co wyszło.

– To na pewno z tej broni strzelano?

– Wyślemy do waszego laboratorium, ale z lufy śmierdziało prochem, a kaliber pasuje.

– Dzięki za pomoc.

– Jakby pan miał jeszcze jakieś pytania, to proszę do mnie zadzwonić.

Technik wyciągnął kawałek papieru. Napisał na nim swój numer telefonu i dał Mortce. Komisarz pożegnał się z nim skinieniem głowy i wyszedł na zewnątrz. Andrzejewski czekał na niego na podjeździe. Podinspektor i szef stołecznego Wydziału Zwalczania Terroru Kryminalnego i Zabójstw dreptał w miejscu, próbując się ogrzać. Na łysą głowę nasunął kaszkiet, którego daszek opadał mu niemal na brwi.

– Widziałeś? – zapytał.

– Widziałem – potwierdził. – To bez sensu. Nie zabija się dwóch osób i nie zostawia się na miejscu pistoletu.

– To broń służbowa. Czy ją wziął czy nie, nie ma znaczenia. Zidentyfikowalibyśmy ją po pociskach i łuskach.

– Ale to by trochę zajęło.

– Słuchaj, Kuba, są możliwe dwa scenariusze. Albo zorientował się, że dziewczyna zadzwoniła po pomoc, i wiedział, że nie zdąży zatrzeć śladów. Zostawił broń, bo to już nie miało żadnego znaczenia.

– Albo?

– Albo to, co się tutaj działo, nie było zaplanowane. Wszystko wydarzyło się na gorąco. A wiesz, jak jest w takich sytuacjach. Ludzie popełniają głupie błędy. Nawet policjanci.

Mortka kiwnął głową.

– Po co mnie tu przywozłeś?

– Żebyś zobaczył wszystko na własne oczy, żeby nie wpadły ci do głowy żadne głupie pomysły.

– Niby jakie?

– On zniknął. Nie wiemy, gdzie jest. Chociaż nie przesądzam o jego winie, wszystko wskazuje na niego. Prawdopodobnie się ukrywa. Może będzie szukał wsparcia. Może zwróci się do ciebie. Wtedy przypomnij sobie to, co tutaj widziałeś, Kuba. I pod żadnym pozorem – niezależnie od tego, że to twój kumpel, niezależnie od tego, że razem pracowaliście – nie pomagaj mu. Nie pomagaj Kochanowi, Kuba.

Pierwsza rzecz, której cię uczą, kiedy zaczynasz pracę w hotelu – bądź uważnym obserwatorem. Druga rzecz – szybko zapominaj to, co zobaczyłeś. Logiczne. Gościom zależy na tym, by obsługa była zawsze obok nich, gdy potrzebują pomocy. A nawet jeszcze wcześniej. Żeby to osiągnąć, trzeba patrzeć. Ale jak jeden taki biznesmen przyjeżdża na dwudniową delegację i zamawia sobie panienkę do pokoju dla rozluźnienia, to zależy mu przede wszystkim na dyskrecji. A najlepszym gwarantem dyskrecji jest niepaństwo. Dlatego też te dwa słowa – „patrz i zapominaj” – powinny zostać uznane za maksymę hotelarskiej branży.

Grzegorz dobrze radził sobie z pierwszą częścią, z drugą miał jeszcze problemy. Dlatego od razu zauważył tego mężczyznę. Postawny, krótkie siwe włosy. W tej pracy człowiek szybko dowiaduje się, jak rozróżniać cztery zawody: psy, złodziei, prostytutki i taksówkarzy. Ten był policjantem. Świadczyła o tym jego postawa – coś na pograniczu pewności siebie i arogancji. Coś, co mają tylko osoby, które w dowolnej chwili mogą zamachać ci odznaką przed nosem i kazać spierdalać w podskokach, bo tak.

Policjant w hotelu to zły znak. Grzegorz zastanawiał się, czy nie powinien wezwać kierownika zmiany i szefa ochrony, ale po chwili postanowił jednak nie robić afery. Facet pewnie przyszedł na umówione spotkanie, a może tylko szuka toalety. Recepcjonista rozejrzał się po holu, szukając wzrokiem innych funkcjonariuszy. Albo dobrze się chowali, albo ich nie było. Wolał to drugie wyjście.

Oznaczało to, że policjant przyszedł sam i nie szykuje się żadna grubsza akcja.

Stojąca przy komputerze Aniela też zauważyła siwowłosego. Akurat obsługiwała zagranicznego gościa. Chyba Niemca albo Szweda, więc wymienili między sobą spojrzenia. Oni zawsze fatalnie mówią po angielsku. Z dziwnym, twardym akcentem, który sprawia, że słowa brzmią jak potłuczone cegły. Do tego nachylają się wtedy do ciebie z taką obrażoną, teutońską miną, bo to w końcu twoja wina, to zawsze jest twoja wina. Z Anglikami nie było lepiej. Mamrotali, jakby pili od samego rana. Zero szacunku dla własnego języka. Według Grzegorza najłatwiej dogadywało się z Amerykanami i, o dziwo, z Hindusami i Arabami.

Aniela była ładną, niską blondynką z dość dużymi piersiami. Z pełną świadomością tego faktu wkładała do pracy zbyt małe koszule, przez co materiał napinał się do granic możliwości, a guziki wyglądały tak, jakby miały zaraz wystrzelić na wszystkie strony. Grzegorz uważał to za dość prostackie zachowanie, ale poza tym lubił tę miłą, sympatyczną dziewczynę, która bardzo pomogła mu podczas pierwszych dni pracy w Gromadzie. Planował zaprosić ją na kawę. Jednak zanim zebrał się na odwagę, zobaczył, jak odjeżdża na motorze ze swoim chłopakiem, wbitym w skóry, użelowanym, opalonym na brąz miśkiem, więc zrezygnował.

Siwowłosego pokreślił się po holu, ewidentnie czegoś szukając. Wreszcie stanął przy świątecznej choince. Ubrali ją już na początku grudnia, zdaniem recepcjonisty zdecydowanie za wcześnie, ale kierownictwo chciało, kierownictwo ma. Mężczyzna wyciągnął z kieszeni kurtki paczkę papierosów i wsadził jednego do ust.

– Przepraszam! – odezwał się Grzegorz zza kontuaru. Funkcjonariusz wydawał się go nie słyszeć. – Przepraszam! – krzyknął głośniej. – Pan, pan tam z tyłu!

Siwowłosego drgnął. Spojrzał na recepcjonistę zirytowany, jakby właśnie złapano go w światła reflektorów. Aniela ciągle walczy-

ła z Niemcoszwedem, próbując wytłumaczyć mu po raz dziesiątą jedną pozycję z rachunku, więc Grzegorz musiał radzić sobie sam.

Wyszedł zza lady i zbliżył się do gościa. Sprawdził, gdzie znajduje się hotelowy ochroniarz, na wypadek gdyby konieczne było wezwanie pomocy.

– Przepraszam pana bardzo, ale tutaj nie wolno palić – powiedział.

– Przecież nie palę – obruszył się siwowłosego.

Faktycznie, papieros był niezapalony. Grzegorz jednak wiedział, że z takimi osobami nie ma sensu dyskutować, a na pewno nie wolno przyznawać im racji. Trzeba spokojnie, ale stanowczo robić swoje. Nawet jeśli to policjant.

– Bardzo pana przepraszamy, ale w naszym hotelu nie wolno palić. Proszę schować tego papierosa.

Mężczyzna pociągnął nosem. Wyjął papierosa z ust. Podsunął go demonstracyjnie recepcjoniście, niemal wsadzając mu go do oka, a potem teatralnym ruchem schował do wymiętej paczki.

– Bardzo panu dziękuję.

Grzegorz chciał się wycofać za ladę, ale siwowłosego powstrzymał go znaczącym chrząknięciem.

– Tak, słucham?

– Którędy do apartamentów?

– Windy znajdują się...

– Nie interesują mnie windy – przerwał mu policjant. – Macie jeszcze taki przedpotopowy wynalazek jak schody?

Grzegorz uśmiechnął się uprzejmie, bo kiedy goście żartują, zawsze trzeba się uśmiechać. Nawet jeśli są to tacy buce jak ten.

– Oczywiście – potwierdził. Potem wskazał mu drogę i poinformował, na które piętro powinien wejść. Policjanta interesował konkretny pokój, apartament mieszczący się na jednym z najwyższych pięter. Recepcjonista miał więc tę satysfakcję, że siwowłosego solidnie się zmacha, zanim dotrze na miejsce.

Wrócił za kontuar. Niemcoszwed kierował się już w stronę wyjścia, ciągnąc za sobą ogromną walizkę na kółkach. Aniela schowała za ucho kilka luźnych kosmyków.

– Czego chciał? – zapytała.

– A twój? – odpowiedział pytaniem chłopak. – Bo ja go ni w ząb nie rozumiałem.

– Chyba chciał się dowiedzieć, gdzie jest apteka.

– Chyba?

– Ja też go ledwo, ledwo. W każdym razie wskazałam mu drogę do najbliższej.

– A jeśli nie o to mu chodziło?

– To wróci. A ten twój? Podejrzenie wyglądał.

– Podejrzenie? Mi raczej na policjanta.

– To mówię, że podejrzenie – zaśmiała się Aniela. – Czego chciał?

Grzegorz już otwierał usta, żeby jej odpowiedzieć, kiedy przypomniał sobie, kto pojawił się dwadzieścia minut wcześniej w hotelu. I kto wziął klucz elektroniczny do tego samego apartamentu, do którego udał się policjant. Postawny mężczyzna. Uprzejmy i miły, ale w jego spojrzeniu było coś nie tak. Miał zimne, martwe oczy węża. Umówili się tutaj na spotkanie, tak zrozumieli. Ten policjant i ten niepokojący mężczyzna. I nie mogło z tego wyjść nic dobrego.

W hotelarstwie uczą cię najpierw dwóch rzeczy – być uważnym i szybko zapominać. Grzegorz nieźle radził sobie z pierwszą. Nad drugą postanowił jak najszybciej popracować. Dla własnego dobra.

Komisarz Gruda z Wydziału Zwalczania Terroru Kryminalnego i Zabójstw powoli wspinał się po schodach i po raz kolejny przeklinał pod nosem swój strach przed windami. Nie że w ogóle do nich nie wchodził. Czasami nie miał wyjścia. W życiu nie

przyznałby się do tej fobii komukolwiek z pracy. Ale zawsze, jeśli tylko mógł, wybierał schody. Z windami było coś bardzo nie tak. Małe metalowe klitki, zawieszane na linie, ciągną człowieka wysoko w górę, jakby był tylko stertą desek. Liny mogą przecieżyć się zerwać, hamulce nie zadziałają, a jedyne, co można wtedy zrobić, to wciskać przycisk alarmowy, co oczywiście i tak nic nie daje. Albo nawet samo zatrzaśnięcie w windzie. Znowu nic się nie da zrobić. Trzeba tylko siedzieć w tej celi dwa na dwa i modlić się, żeby pomoc nadeszła, zanim zachce ci się srać. Nie. Kiedy tylko Gruda mógł wybierać, to zawsze wybierał schody. Tak było i tym razem.

Dotarł wreszcie na wskazane przez recepcjonistę piętro. Przystanął tam na dwie, trzy minuty. Otarł pot z czoła. Począł, aż serce znów zacznie mu normalnie bić. Wyciągnął komórkę i wyłączył ją na wszelki wypadek. Dopiero potem ruszył korytarzem w stronę pokoju. Po drodze minął sprzątaczkę, która pchała wózek pełen zużytych ręczników. Stanął przed drzwiami. Nie spodziewał się żadnych niespodzianek, ale na wszelki wypadek sprawdził, czy łatwo sięgnie po nóż schowany w kieszeni spodni. Umawiali się, że przyjdą bez broni, ale według Grudy dotyczyło to pistoletów. Poza tym jeśli gospodarz naprawdę spodziewał się, że komisarz pojawi się u niego zupełnie bezbronny, to musiał oszaleć.

Nóż tkwił w kieszeni. Porządne, mocne składane ostrze. Wystarczyło nacisnąć przycisk, by się wysunęło. Dobre, żeby kogoś szybko dźgnąć.

Zapukał. Czekał cierpliwie, nasłuchując, ale nie usłyszał żadnych kroków po drugiej stronie. Po prostu drzwi uchyliły się z lekkim stukotem, kiedy zwałniał się zamek. Otworzył je szerzej. Wszedł do środka, zamykając za sobą. Minął krótki korytarz i znalazł się w pierwszym z pokoi. Nawet ładny. Na żółtych ścianach powieszono jakieś obrazki dla ozdoby. Pod oknem stolik, dwa wygodne fotele, elegancka biała kanapa.

Borzestowski stał obok biurka, tyłem do policjanta. Miał na sobie niebieskie jeansy i granatową, świetnie dopasowaną marynarkę, spod której wystawał czarny golf. Z reklamówki z logo Wólczanki wyjął butelkę wódki. Otworzył ją, wziął jedną szklankę i nalał do połowy.

– Tobie też nalać?

– Nie, dzięki.

Gangster odwrócił się przez ramię i spojrzał na niego podejrzliwie.

– A to czemu?

– Wątroba – wyjaśnił Gruda obojętnym tonem. – Lekarz powiedział, że albo rzucam picie, albo mogę ustawić się w kolejce do przeszczepu.

Borzestowski pokiwał głową ze zrozumieniem.

– U mnie kręgosłup – powiedział, pociągając ze szklaneczki. – Są dni, kiedy tak napierdala, że mam ochotę sam go sobie wyrwać. Na noc muszę porządnie wypić, by w ogóle zasnąć. A i tak nad ranem śpię tak słabo, że budzi mnie nawet szczekanie psa sąsiadów. A mają takie małe gówny. Kiedyś jechałem na amfie i białej damie, teraz na ketonalu i minesulinie.

– I możesz to łączyć z alkoholem?

– Niby nie. Ale sam wiesz, Gruda. Ciało ludzkie w końcu do wszystkiego się przyzwyczaja.

Policjant wykrzywił usta w grymasie, który przy dużym udziale dobrej woli można by uznać za uśmiech.

– To może przynajmniej soczku, panie komisarzu?

– Pomarańczowy?

– Jabłkowy.

– Może być.

Borzestowski znowu sięgnął do reklamówki. Po chwili podała policjantowi napełnioną szklankę. Gruda wziął ją bez słowa. Upił trochę i odstawił na stolik. Podeszedł do okna, odsunął fi-

rankę i przez chwilę patrzył na pobliskie lotnisko i pas startowy, gdzie właśnie kołował samolot pasażerski linii lotniczych KLM. Postukał palcem w szybę.

– Powinieneś w nim być – powiedział, wskazując na maszynę.

Borzestowski zakręcił wódką w szklance, jakby to była whisky.

– A dokąd leci?

– Nieważne.

– A jak tam, to ja dziękuję, panie komisarzu.

– Chyba nie zrozumiałeś. Dostałeś ostrzeżenie. To nie był mój pomysł, ale to nie ma teraz najmniejszego znaczenia. Powinieneś skorzystać z okazji. Spakować dolary do walizki i spieprzać z tego kraju, póki jeszcze ci nie założyliśmy bransoletek.

– Jestem wdzięczny za radę, ale nie skorzystam.

– Powinieneś.

– Skończyłeś już mówić, Gruda? Nazgrywałeś się twardzieła? Pogroziłeś mi wystarczająco czy jeszcze trochę ci to zajmie? A może teraz moja kolej? – zapytał drwiąco gangster, ale jego spojrzenie było spokojne i skupione. Groźne. Jakby szykował się do ataku.

– Mów – warknął Gruda. Nie mógł pozwolić wyprowadzić się z równowagi. Przyszedł tu tylko po to, żeby porozmawiać. Przekazać wiadomość. Odebrać odpowiedź. Upewnić się, że Borzestowski wszystko dobrze rozumiał. I nie dać się przy tym oszukać. Gangster mówił jedno, myślał drugie, robił zaś jeszcze coś innego. Nieustannie skupiony tylko na tym, co mogło mu przynieść jakąkolwiek korzyść. Bezwzględny i przebiegły. W taki sposób utrzymał się na szczycie. W taki sposób się na niego dostał.

– Mieszko ma przestać sypać.

Samolot KLM-u wjechał na pas startowy i zniknął za budynkiem terminala. Gruda odszedł od okna. Przeciął pokój, po drodze trącając kolanem jeden z foteli.

– Umówmy się – powiedział po chwili zastanowienia. – Mieszko nie jest tematem naszej rozmowy.

– Wręcz przeciwnie, Gruda. Jest jedynym tematem naszej rozmowy. Jedynym powodem, dla którego zorganizowałem nasze małe spotkanie. I wiem, że jesteś tylko posłańcem, więc przekaz Andrzejewskiemu: niech Mieszko zamilknie.

– Nie ma takiej możliwości.

Borzestowski zrobił zmartwioną minę. Fałszywą, jak on sam.

– Szkoda – mruknął. – Ale musisz wiedzieć jedno, Gruda. Jeśli on gada, to ja też.

Policjant wzruszył ramionami.

– Możesz mówić, co tylko chcesz. Myślisz, że znajdzie się ktośkolwiek, kto będzie cię chciał słuchać?

– O! Jestem pewien, że skruszony gangster zawsze znajdzie swoją publiczność. Spójrz na Masę. Wszędzie go pełno. Jeszcze trochę i zaczną śmigać na łodzi z gwiazdami.

– Byłby to zaprawdę zacny widok. Mógłbym dla niego nawet zacząć płacić abonament. Ale on nigdy nikogo nie zabił.

– A ja tak?

– Obaj wiemy, jak jest. I obaj wiemy, że okej, nawet jeśli znajdziesz kogoś, kto cię wysłucha, to zawsze będzie twoje słowo przeciwko naszemu. A trzeba być idiotą, żeby uwierzyć właśnie tobie.

– Idiotów nie brakuje.

Gruda prychnął. Borzestowski wlał w siebie wódkę ze szklanki. Cały się spiął, kiedy alkohol przepływał przez jego ciało do żołądka, i policjant ocenił, że gangster pomimo mijających lat ciągle jest w formie. Ludzie z półświatka zwykle szybko tyli. Za dużo alkoholu, jeszcze więcej kiepskiego żarcia. Wystarczyło kilka lat, a wyglądali jak żywcem wyjęci ze zjazdu cukrzyków. Jednak Borzestowskiego to nie dotyczyło.

– Było tak, jak było – powiedział gangster. – Ale już nie jest. Teraz nie mamy słowa przeciwko słowu.

– Niby dlaczego?

– Bo przecież w końcu ich znaleźliście.

Gruda poczuł, jak włoski na karku stają mu dęba.

– Nic o tym nie wiem.

– Proszę nie żartować, komisarzu. O tym, że wykopaliście jakieś ciała nad Wisłą, trąbią media. Co prawda mógł to być ktośkolwiek. Nie tylko wy przecież korzystaliście z tamtych okolic jak z cmentarza. Są takie miejsca, że gdzie nie wsadzisz łopaty, znajdziesz jakąś kość. Ale teraz mam pewność, że to oni.

– Niby skąd?

– Bo gdyby to nie byli oni, nie odbywalibyśmy tej rozmowy – odparł Borzestowski, odkładając szklankę. – Do tej pory faktycznie mogłem sobie tylko gadać, jednak teraz pojawiły się ciała. Teraz pojawiły się dowody. Ten policjant, Kochan, prawda? Dobrze się sprawił. Muszę sobie gdzieś zapisać, że powinienem mu podziękować. Oszczędził mi sporo kłopotów.

– To nic nie zmienia.

– To zmienia wszystko – wycedził. – Bo od tej pory, jeśli ja idę na dno, wy idziecie ze mną. I to właśnie przekaz Andrzejewskiemu.

Gruda wsadził dłonie do kieszeni. Pod palcami poczuł rękojeść noża. Od Borzestowskiego dzieliły go jakieś trzy metry. Mógłby się do niego zbliżyć o metr, zanim tamten nabrałby podejrzeń. Potem szybko wyciągnąłby nóż, otworzył ostrze i wbił je w serce gangstera. Lewa strona klatki piersiowej, druga przestrzeń międzybrowa lub trzecia. Sama okolica też byłaby dobra. Jak nie w serce, trafiłby w płuco lub aortę brzuszną, a potem patrzyłby spokojnie, jak skurwiel umiera. Czego dotyczył w tym pokoju? Tylko szklanki i szyby. Ślad na oknie mógłby zatrzeć, szklankę wziąć ze sobą. Ale w hotelu są kamery bezpieczeństwa, a na dole zwrócił na niego uwagę recepcjonista. Przede wszystkim jednak – w życiu nigdy nie ma łatwych rozwiązań. Borzestowski przyszedł tutaj gotowy na starcie. I też zapewne trzymał swojego asa w rękawie.

Dlatego Gruda puścił rękojeść noża i wyjął ręce z kieszeni. Zwisaly mu swobodnie wzdłuż ciała, by gangster mógł zobaczyć, że jest nieuzbrojony.

– Przekażę – powiedział. – Ale na twoim miejscu i tak zainteresowałbym się biletami lotniczymi do jakiegoś miłego, ciepłego miejsca. Okęcie masz blisko.

Chciał się obrócić i odejść.

– On cię wyrucha, Gruda – odezwał się Borzestowski, zatrzymując go w pół kroku.

– Kto?

– A jak myślisz? Andrzejewski.

– Wybacz tę bezpośredniość, ale w dupie byłeś i gównu wiesz. Gangster zaśmiał się krótko, gardłowo i nieprzyjemnie.

– Dobrze. Zapiszę to sobie.

– Lepiej się naucz na pamięć, żebyś się nie pomylił, kiedy będziesz powtarzać.

– Liczysz na Andrzejewskiego, Gruda. Że jesteście w tym razem. Ale nie jesteście. Popatrz, gdzie ty jesteś, wieczny komisarz, a gdzie on. A zabiliście ich razem. Co ty z tego masz? A co on?

– Nic.

– Jesteś pewien? Gdzie Andrzejewski mieszka?

Gruda milczał.

– W Konstancinie – odpowiedział za niego Borzestowski. – Ma tam ładny domek. Myślisz, że uzbierał na niego z policyjnej pensji?

Policjant zagryzł wargę, a potem wyszczerzył zęby. Wyciągnął w stronę mężczyzny palec i pogroził mu energicznym ruchem.

– Sprytne. Naprawdę cwane.

– Poświęci cię, kiedy tylko nadarzy się okazja. To taka przyjacielska rada.

– Nie jesteśmy przyjaciółmi.

– Ale możemy nimi zostać.

– Prędeż położę chuja pod szlifierkę – odpowiedział Gruda i wyszedł bez słowa.

– Może będziesz musiał – mruknął do siebie Borzestowski, kiedy za tamtym trzasnęły drzwi. – Może będziesz musiał.

Sucha oglądała ten film już setki razy. Początkowe obrzydzenie już dawno zniknęło. Pozostał tylko chłodny analityczny umysł i podziw dla dziewczyny, która to wszystko zaplanowała i przeprowadziła. Policjantka mogła się tylko domyślać, ile to wymagało od niej wysiłku, przygotowań, nerwów.

A koniec końców, zginęła w głupi sposób.

Sucha wzniosła w górę butelkę z piwem w niemym toaście za Zuzannę Łatkowską.

Pierwsza przeszkoda: dostanie się do mieszkania, w którym Celtycki urządził swój mały dom schadzek. Musiała wejść niepostrzeżenie. Zdobyć klucz, co akurat pewnie było łatwe. Robiła w końcu jako opiekunka dzieci u Celtyckich. Wejść do lokalu. Zamontować sprzęt. Odłożyć klucz, zanim ktokolwiek się zorientuje, że zniknął. W sumie mogła go też dorobić, co było najbardziej racjonalne. Pytanie, czy miała taką możliwość.

Przeszkoda druga: zdobycie sprzętu podsłuchowego. Co nie jest takie łatwe i takie proste, jak by się mogło wydawać. Szczególnie dla kogoś, kto robi to prawdopodobnie po raz pierwszy w życiu. Oczywiście w internecie można znaleźć wszystko, chociaż zapomina się przy tym, że większość z tych rzeczy jest nic niewarta. Ale nawet zdobycie sprzętu nie rozwiązywało problemu, ponieważ wtedy pojawiała się przeszkoda trzecia: jego montaż. Mikrofony trzeba schować w takich miejscach, gdzie będą niewidoczne, ale równocześnie będą dobrze i czysto zbierać dźwięk. Wymaga to i pewnej wiedzy, i pomysłowości. Przeszkoda czwarta: zrobić to wszystko tak, by nie dać się w żaden sposób złapać.

Łatkowskiej się udało. A nawet więcej, zamontowała w jakiś sposób w tym mieszkaniu kamerę. Nagrało się tylko to. Albo tylko to jedno nagranie uznano za na tyle interesujące, by je zachować w swoich materiałach.

Kamerę umieszczono w kącie pokoju, tak żeby obejmowała maksymalny kąt widzenia. Film był pozbawiony dźwięku, jednak w całkiem niezłej jakości. Łatkowska go nie montowała, ale prawdopodobnie skróciła. Pierwsze sceny są dość niewinne. W pokoju znajduje się pięciu mężczyzn. Wszyscy są w podobnym wieku, około trzydziestu pięciu lat. Czterech ma na sobie garnitury, jeden przyszedł w jeansach i gustownym sweterku w serek. Mowa ich ciała, gesty, zachowanie wskazują na to, że dobrze się znają. Atmosfera jest dość luźna. Rozmawiają. Zdejmują marynarki. Rozpinają górne guziki koszuli. Jeden z nich wyjmuje z kieszeni foliową torebkę, a z portfela kartę kredytową. Na blat stołu wysypuje narkotyk, prawdopodobnie kokainę, chociaż może to też być coś innego, i tworzy równe, długie kreski. Robi rulońnik z banknotu i wciąga jedną. Zaprasza innych do degustacji. Korzysta dwóch. Facet w sweterku w serek znika na moment z kadru, żeby wrócić po niecałej minucie. Ma dwie butelki piwa. Jedną podaje koledze.

W pewnym momencie rozmowy zamierają. W obiektywie kamery pojawia się nowa postać. Krótko ostrzyżony blondyn, który prowadzi przed sobą młodego chłopaka. Blondyn jest ubrany jak jego koledzy. Spodnie od garnituru, niebieska koszula. Krawat zarzucił sobie zawadiacko na plecy. Chłopak jest prawie nagi. Ma na sobie tylko bokserki i czarne skarpety, podciągnięte aż do połowy łydek.

Goście przerywają rozmowy. Trzech zaczyna klaskać. Facet w swetrze kręci z niedowierzaniem głową. Jest rozbawiony. Inny podnosi w górę ręce, jakby ogłaszał, że się poddaje, że dla niego to za dużo. Stojący obok łysy wali go otwartą dłońią w plecy.

Chłopak wygląda na około dwadzieścia lat. Jest dość chudy. Widać jego żebra, płaski brzuch, ale pozbawiony mięśni. To nie jest typ sportowca. Mało się rusza. Sucha podejrzewa, że głównie siedzi przed komputerem. Modnie obcięty: dłuższe włosy, wycienione i wymodelowane, grzywka opada na czoło. Wydaje się pod wpływem środków odurzających. Chwieje się na nogach. Rozgląda się niepewnie dookoła, jakby nie do końca wiedział, gdzie jest i co się z nim dzieje. Jednak nawet narkotyki nie są w stanie stłumić jego strachu. Oddycha bardzo szybko. Klatka piersiowa wędruje w górę i w dół w rytm uderzeń serca.

Blondyn klepie go uspokajająco po ramieniu. Chłopak odwraca się w jego stronę i wtedy otrzymuje cios prosto w twarz i upada. Facet w sweterku upija duży łyk piwa, jakby chciał sobie w ten sposób dodać odwagi. I, o dziwo, to on rusza pierwszy.

Sucha zatrzymała odtwarzanie filmu. Postukała palcem w blat biurka. Facet w sweterku w serek. Brązowe włosy. Krótko przystrzyżona broda. Okulary, które właśnie zdejmuje, by podać komuś stojącemu poza kadrem. Przyjemna, dość delikatna twarz mogłaby należeć do prawnika, księgowego, kogoś o spokojnym zawodzie, kto ma ciągoty artystyczne, interesuje się fotografią albo jeździ w weekendy w plener, żeby malować pejzaże. A każdego dnia wraca o tej samej porze do domu w podwarszawskiej miejscowości, gdzie czeka na niego żona i dwójka grzecznych dzieci.

Włączyła odtwarzanie. Facet oddaje też piwo. Rozpina spodnie i opada na chłopaka. Jedną ręką przyciska mu kark. Druga wędruje w okolice jego bokserek. Chłopak jakby na moment trzeźwieje. Na jego twarzy odmalowuje się przerażenie. Zaczyna się szamotać. Facet nie daje sobie rady. Jest zirytowany. Chłopak prawie go z siebie zrzuca. Wtedy interweniuje jeden z koleś w garniturach. Najpierw strzela chłopakowi z liścia, a potem go przytrzymuje. I dopiero wtedy facetowi w sweterku udaje się zdjąć bieliznę z ofiary. Wchodzi w niego. Nie używa żadnych

lubrykantów, więc ma trudności. Porusza się niemrawo. Złości się. W pewnym momencie chwyta go za włosy i pociąga mocno do siebie. Kamera dobrze wtedy łapie twarz chłopaka. Jego rysy zrobiły się niespodziewanie ostre. Czerwona skóra lśni od śliny, smarków i łez. Usta szeroko otwarte. Wydaje się, że bardziej łka, niż krzyczy.

Jeden z krawaciarzy spokojnie ściąga spodnie. Staje obok. Przypatruje się całej scenie ze spokojem. Jak zresztą wszyscy tutaj. Żadnego zdziwienia. Jakby widzieli coś takiego nie po raz pierwszy. Rutyna. Mężczyzna wreszcie chyba się niecierpliwi. Trąca faceta w sweterku i zajmuje jego miejsce. Tamten wstaje. Wygląda równocześnie na zmęczonego i zniesmaczonego. Ociera pot z czerwonej twarzy. Ktoś uczynny podaje mu piwo. Wypija całą butelkę jednym haustem. W gwałcie biorą udział jeszcze dwaj inni. Na koniec blondyn staje nad chłopakiem i sika mu prosto na twarz. Śmieje się potem, zapinając rozporek, jakby opowiedział właśnie najlepszy dowcip.

Z sześciu mężczyzn nagranych na taśmie udało się jej zidentyfikować pięciu. Trzech posłów, każdy z innej partii. Jeden biznesmen, mniej więcej sześćdziesiąty na liście najbogatszych Polaków. Jeden dziennikarz, który zmienia stacje jak rękawiczki i w każdej dostaje gwiazdorski kontrakt. Nie potrafiła ustalić, kim jest blondyn. I co najważniejsze – nie wiedziała, kim była ofiara.

Bardzo długo zastanawiała się nad tym, co zrobić z materiałami zebranymi przez Łatkowską. Odrzuciła pierwszą myśl, żeby natychmiast wrzucić wszystko do internetu. Na YouTube'a, Facebooka, Wykop, a nawet Wrzutę i Naszą Klasę, jeśli trzeba. Na razie nikt nie wiedział o tych plikach, co dawało jej przewagę. Poza tym nie chciała stracić panowania nad sytuacją. I był jeszcze jeden powód. Najważniejszy. Bała się, że się wywiną. Jasne, to brutalny film, jednoznaczny, przedstawione na nim osoby miałyby wielkie problemy. Ale to znani ludzie, wpływowi. Wymyśliliby jakąś

bajeczkę o tym, że to wcale nie gwałt, tylko gejowska zabawa, że to atak na ich prywatność, grzebanie w sprawach osobistych. Zrobiliby z siebie ofiary. Film był mocny, ale nie dość mocny jak dla nich. Potrzebowała więcej dowodów. Musiała znaleźć tego chłopaka. Sprawić, żeby zaczął mówić. Nie mogła pozwolić na to, by gwałciciele odeszli wolno.

Nie po raz drugi.

Po automacie do kawy pozostała tylko jaśniejsza plama na ścianie. Mortka patrzył na nią, a w dłoniach obracał puszkę coli. Miała mniej więcej tyle samo cukru i kofeiny co kawa z maszyny. Ale to nie było to samo co ta słodka lura, której najpierw nienawidził, a potem nie wyobrażał sobie bez niej poranków. Kilka miesięcy temu automat naprawiono. Okazało się, że wcześniej nawalił podajnik cukru. Słodził dwa, trzy razy więcej niż normalnie. Mortce „naprawiona” kawa nie smakowała. Ratował się wtedy, dodając samemu kilka łyżeczek do każdego kubka. A teraz maszyna ostatecznie zniknęła. Stało się to tydzień temu. Przyszło dwóch facetów w niebieskich kombinezonach, zapakowało ją na taczkę i wyniosło z komendy. Nikt nie wiedział dlaczego ani czy kiedykolwiek z nią wróca. Dla Mortki cała ta historia dowodziła, że człowiek jest w stanie przyzwyczać się do najgorszego syfu, a nawet za nim tęsknić.

Otworzył puszkę, wypił zawartość kilkoma łykami. Napój był zimny. Zabolalo go gardło, a gaz sprawił, że zachciało mu się bekać. Chrząknął kilka razy, zgniótł puszkę i wyrzucił ją do najbliższego kosza, a potem poszedł do siebie.

Aspirantka Suchocka, Sucha, siedziała już przy swoim biurku. Tym samym, które jeszcze rok temu zajmował Kochan. Przerzucała papiery, wypełniając stos nikomu niepotrzebnych formularzy.

- Cześć – rzuciła, kiedy siadał na swoim miejscu.
- Cześć.

Przez moment obserwował, jak pracuje. Przypominała maszynę. Maksymalnie skupiona. Palce śmigały jej po klawiaturze starego komputera, chociaż równocześnie czytała swoje notatki, wykonane drobnym, eleganckim pismem, jakby wyjętym prosto z podręcznika do kaligrafii. Obok kubek z herbatą. Pewnie już zimną. Zawsze tak robiła. Przygotowywała sobie ciepły napój, stawiała obok, a potem zupełnie o nim zapomniała. Kiedy był już zupełnie chłodny, przypominała sobie o nim, próbowała, krzywiła się, wylewała resztę i szła zrobić nową. Potem cykl się powtarzał.

Też powinien zająć się papierkową robotą. Spróbować przynajmniej zmniejszyć tę górę dokumentów, która zalegała na jego biurku. Nie potrafił. Skąd na miejscu zbrodni wzięła się broń Kochana? Czy naprawdę ją tam zostawił? A może ktoś ją podrzucił? Policyjne regulacje mówiły, że policjant po służbie bierze broń ze sobą do domu. Tam trzyma ją w sejfie lub metalowej skrzynce przymocowanej na stałe do podłogi. Jeśli nie ma warunków u siebie, może po złożeniu odpowiedniego pisma zostawić pistolet w jednostce. Tyle teoria. Praktyka to co innego. Mortka długo trzymał broń w komendzie. I dlatego że nie lubił z nią chodzić, i ze względu na dzieci. Bał się, że się do niej dorwą i dojdzie do tragedii. Po rozwodzie, a także ostatnich wydarzeniach zmienił zdanie i sprawił sobie sejf.

- Gdzie trzymasz broń? – zapytał aspirantkę.
- Którą?
- Masz więcej? – Spojrzał na nią ze zdziwieniem.
- Trochę jej kupiłam. To o którą ci chodzi?
- O służbową.
- W komendzie. Mam w domu szafę pancerną, ale tutaj daliśmy P99. Nie noszę tego gówna więcej niż potrzeba. Zmarszczył brwi.
- Dlaczego?

– Przez to całe strzelanie na sucho, które udaje nasze przeszkolenie strzeleckie – odpowiedziała. – Ta broń tego nie lubi. Wypada iglica, pęka zamek. Zobaczysz, dojdzie kiedyś z tego powodu do tragedii.

Zrobiło mu się nieswojo. On też miał P99. I też strzelał z niego na sucho, ponieważ amunicji do ćwiczeń dostawali tyle, co kot napłakał. A niedawno miał okazję zobaczyć, co wybuchająca broń potrafi zrobić z dłoni człowieka. Nie chciałby tego doświadczyć.

– Słyszałam o Kochanie – odezwała się Sucha.

– Wieści szybko się rozchodzą.

– Aha.

– Co słyszałaś? – zainteresował się, a ona wreszcie przerwała pisanie.

– Że prawdopodobnie zabił dwie osoby. Że nikt nie wie, gdzie jest. Że wszyscy chodzą wkurzeni i lepiej dzisiaj nie pokazywać się Andrzejewskiemu na oczy. I że jeśli dowie się o tym prasa, to mamy przewalone, więc trzeba trzymać język za zębami.

– To ostatnie widać kiepsko wszystkim wychodzi.

– Wiesz, jak jest. Plotkowanie to jedno z głównych zajęć w naszym wydziale.

– Plotkowanie?

– Wiem, nazywacie to wymianą informacji, konferencjami, konsultacjami, ale bądźmy szczerzy, plotkujecie jak stare baby na bazarze.

Mortka wzruszył ramionami. Sięgnął po pierwszy formularz z brzegu, zastanawiając się, co tym razem trafiło na jego biurko.

– A ty co wiesz? – zapytała Sucha.

– Niewiele więcej od ciebie.

– Czyli jednak więcej? Co konkretnie?

– Jak sama zauważyłaś, mamy trzymać język za zębami.

– Skąd wiedzą, że to on? Jakie mają dowody?

– Pytaj Andrzejewskiego.

Pokręciła głową niezadowolona.

– Myślisz, że to zrobił?

– Pytaj Andrzejewskiego.

– Nie chcę od ciebie wyciągnąć informacji. Pytam jak kolegę, faceta, który znał Kochana i z nim pracował.

– Jak kolegę?

– Starszego. Z autorytetem. Doświadczonego.

Drażniła się z nim, a Sucha potrafiła być nieznośna. Zmieniała się wtedy w połączenie małej irytującej dziewczynki z całkiem dorosłą, wredną suką.

– Dość – przerwał jej. – Skończyliśmy temat.

– Ale myślisz, że to zrobił czy nie?

Nie odpuszczała, dopóki nie dostała tego, czego chciała. Nieustępliwa. Cenił u niej tę cechę, ale dlaczego, do cholery, musieli pracować w jednym pokoju? Czemu nie wrzucili jej na przykład do Grudy? On sam nie lubił starszego policjanta. Nie potrafił wyjaśnić dlaczego, ale od pierwszego dnia odczuwali do siebie wzajemną niechęć. Z Suchą było zupełnie inaczej. W tajemniczy, niezrozumiały sposób ta dwójka potrafiła się świetnie ze sobą dogadać. Może dlatego, że nie spędzali razem zbyt wiele czasu.

– Zrobił to czy nie? – naciskała.

Cały ranek spędził na omijaniu tego pytania. Wmawiał sobie, że to nie jest jego sprawa, że to problem facetów z Grodziska albo Andrzejewskiego. Ale to nie była prawda. Bo chodziło o Kochana. Faceta, z którym pracował przez lata, tak jakby przyjaciela. Człowieka, który nieraz ratował mu tyłek i na którego mógł liczyć. Jeśli oczywiście odpowiednio się go wcześniej zmotywuje i przypilnuje, ale to był już szczegół. A teraz znaleziono pistolet podkomisarza przy dwóch zastrzelonych kobietach. Kochan je znał. Do tego zniknął. Nie odbierał telefonów. Jeśli naprawdę uciekł, to właściwie sam się przyznał.

– Nie wiem – wydusił z siebie. – Trudno mi uwierzyć, że byłby do tego zdolny.

– Dlaczego? Przecież bił swoją żonę.

Komisarz uderzył pięścią w stół i poderwał się z miejsca.

– Dość!

Sucha spojrzała na niego zaskoczona, jakby nie wiedziała, o co mu chodzi, a on poczuł się głupio. Przecież powiedziała samą prawdę. Kochan bił swoją żonę. Wielokrotnie. Mortka przez długi czas wmawiał sobie, że nie widzi siniaków na jej rękach, strachu w oczach i tego nieustannie towarzyszącego jej zdenerwowania. Teraz przynajmniej potrafił się przyznać, że tak było mu wtedy łatwiej. Unikał trudnej konfrontacji z przyjacielem, nie chciał angażować się w tę sytuację, zastanawiać się, jak pomóc Ani i zapewnić jej bezpieczeństwo. A przede wszystkim nie chciał uznać, że człowiek, z którym spędzał tak wiele czasu i z którym tak wiele go łączyło, był wyładowującym frustrację na żonie skurwielem. Aż w końcu Kochan przesadził i Ania wyładowała w szpitalu. Wtedy nie potrafił już dłużej udawać. Wstyd to za mało, by opisać, co czuł w stosunku do samego siebie, kiedy wspominał te wydarzenia. Bardziej pasowało obrzydzenie.

Policjant opadł na krzesło. Sięgnął po długopis. Wciąż zdenerwowany, zaczął w pośpiechu pracować – w pokoju zapadła cisza. Przynajmniej na kilka minut.

– Z innej beczki – odezwała się niespodziewanie Sucha. – Kto na mieście prowadzi burdele?

– Wszyscy – odmruknął.

– Chodzi mi o gejowskie.

– Takich to nikt.

– Jak to?

– Bo to nieprawidłne – wyjaśnił. – Takiej kasy nikt nie weźmie.

– Myślałam, że pieniądze nie śmierdzą.

– Gdyby śmierdziały, toby nie było problemów. Ale one są przecwelonę. Dlatego żaden szanujący się miastowy nie będzie się tym zajmował.

– To kto to robi?

Mortka odłożył długopis. Pomasaował dłonią czoło.

– Po co pytasz?

– Samokształcenie – odparła. – Co jesteś taki zaskoczony? Chcę wiedzieć, co się dzieje w tym mieście, kto w czym siedzi. To może się przydać, nie? A o gejowskich burdelach nic nie wiem. Gdzie one są? Kto je prowadzi? Jak to w ogóle działa? Czy mamy tam jakieś kontakty czy nie? Z kim rozmawiać, jeśli pojawi się taki wątek w śledztwie?

Komisarz pokiwał głową.

– Rozmawia się z panem Wieśkiem – powiedział.

– Kto to?

– Stary esbek. Negatywnie zweryfikowany po osiemdziesiątym dziewiątym. Nawet nie wiem, jak trafił do tego interesu. Może był jednym z tych, którzy robili przy akcji Hiacynt. W każdym razie, jeśli tylko pojawia się temat, idziemy do niego. Zna wszystkich, wie wszystko, chętnie pomaga.

– A co on ma z tego?

– Jest po służbie, co prawda esbeckiej, ale wie w czym rzecz.

– Nie traktuj mnie jak idiotki.

Mortka westchnął.

– Dobra. Facet prowadzi burdel dla pedałów. A geje też są różni, nie same czajniczki.

– Wiem.

– No to czasami trzeba komuś wytłumaczyć, żeby odpowiednio się zachowywał bez robienia wokół tego zbędnej awantury. A skoro Wiesiek nie może liczyć na miastowych, to zostajemy mu tylko my.

Popatrzyła na niego z lekkim niedowierzaniem.

– W jaki sposób to tłumaczymy? – zapytała.

– Wystarczy wysłać umundurowany patrol, który pogrozi face-towi kajdankami. Wierz mi, nikt nie chce dać się aresztować w ge-jowskim burdelu.

– Zrozumiałe. Jeszcze jedno pytanie.

– Jakież?

– Gdzie pan Wiesiek prowadzi ten swój interes?

Miał przewalone. Tak bardzo, że brakowało mu słów, żeby to opi-sać. Evelina nie żyła. Jej matka również. Na miejscu znaleziono jego pistolet. To wystarczyło, by robił za głównego podejrzanego. A kiedy wyjdzie na jaw cała reszta, kiedy wymyślą sobie mo-tyw, to będą już pewni, że jest winny. Był tylko jeden problem. Podkomisarz Dariusz Kochan nie zabił ani Eveliny Wilkiewicz, ani jej matki.

Połączyła ich sprawa Trójki z Neptuna. Trzech gangsterów: Mario, Szyszka i Wilk, ojciec Eveliny, w 2004 roku wybrało się do restauracji Neptun. Wspólnie mieli ustalić, jak podzielić między siebie miasto i przy okazji wytną Borzestowskiego. Wiadomo, że weszli do lokalu. I zniknęli. Nikt ich więcej nie widział. Nikt nie wiedział, co się z nimi stało. Do czasu, kiedy sprawą zajął się Ko-chan i znalazł zakopane nad Wisłą trzy trupy z przestrzelonymi czaszkami. Badania DNA potwierdziły, że byli to Mario, Szyszka i Wilk. Na zlecenie prokuratury dalej prowadził tę sprawę, ale choć próbował z każdej strony, a Evelina podsuwała mu kolejne pomysły, nie ruszył do przodu.

Teraz dziewczyna nie żyła. Jego ścigała policja i gorączkowo zastanawiał się, co powinien zrobić.

Uciekając z mieszkania, zdążył spakować tylko najpotrzeb-niejsze rzeczy. Trochę bielizny, parę ciuchów – tyle, by zmieściło się do sportowej torby. Dokumenty, gotówka, której nie miał zbyt wiele, i biżuteria Anny. Wyszedł z domu i obserwował wejście do

swojego bloku z bezpiecznej odległości. Telefon wciąż wibrował mu w kieszeni. Nie odbierał. Pojawili się po blisko godzinie. Dwa radiowozy. Nie na sygnale. Weszli do jego bloku. Kiedy zauwa-żył światło w oknach mieszkania, postawił kołnierz kurtki i po-szedł w swoją stronę.

Początek był najłatwiejszy. Podjechał do bankomatu i wy-ciągnął z konta wszystkie pieniądze, czyli około sześciuset zło-tych. Z telefonu wyjął baterię. Samochód zostawił pod blokiem. Nie było sensu go brać. Nawet jeśli zmieni rejestrację, przez naj-bliższe dni drogówka będzie zatrzymywać każdego srebrnego re-naulta megane. Dlatego skorzystał z usług komunikacji miejskiej. Pojechał do centrum i zjadł śniadanie w barze mlecznym. Potem poszedł do jednego z jubilerów przy Alejach Jerozolimskich. Wyciągnął biżuterię i zapytał, ile za to dostanie. Ekspedientka, czterdziestoletnia brunetka w czarnej spódnicy i białej koszuli, zgarnęła pierścionki, naszyjniki i bransoletki i zaniósła je na za-plecze. Przyglądała mu się przy tym podejrzliwie. Kiedy dojrzał swoje oblicze w szybie, zrozumiał dlaczego. Samotny facet, nie-ogolony, niechlujnie ubrany, z podkrążonymi oczami. Sportowa torba na ramieniu. Do tego zionęło od niego nieprzetrawionym do końca piwem. Wróciła szybko, jakby obawiała się, że ukrad-nie jej towar z gabloty, choć w kącie na krzeselku siedział ochro-niarz, co prawda starszy facet, pewnie z kategorią inwalidzką, żeby było taniej.

Kochan przechadzał się po sklepie, udając, że ogląda wyło-żone kolczyki. Pilnował się, by za często nie patrzeć na zegarek. Nie chciał wyglądać na zdenerwowanego ani zwracać na siebie większej uwagi, niż już to robił. Ale cholera, jeśli policjanci w jego mieszkaniu zauważą brak biżuterii, to natychmiast wyślą parę pa-troli na rundkę po lombardach i jubilerach.

– Mogę pana prosić? – odezwała się wreszcie ekspedientka.

– Tak?

Podszedł do lady i zobaczył tam kilka rzeczy z tych, które przyniósł.

– Tych nie weźmiemy. Za złoto mogę dać panu tysiąc dwieście złotych, za srebro siedemset.

Łącznie niecałe dwa tysiące. Cholera. Był pewien, że wyciągnie więcej. Nie miał jednak czasu na targowanie się. Wolał też nie chodzić po innych jubilerach.

– Zgoda, ale resztę może też pani weźmie? Za dwie stóweczki? Trzy?

– Nie, dziękujemy. To jest złom, proszę pana. Zupełnie nas nie interesuje.

– Ale może jednak będziemy mogli coś z tym zrobić. Są tutaj jakieś kamienie, proszę popatrzeć.

– To jest złom – powtórzyła stanowczo. – Nie zapłacimy za to. Proszę spróbować u kogoś innego. Chociaż wątpię, żeby ktokolwiek się skusił.

Zacisnął pięść ze złości.

– W takim razie dobrze.

– Przygotuję panu pokwitowanie – stwierdziła ekspedientka.

Wyciągnęła bloczek, wypisała kwotę i datę, po czym podsunęła mu do podpisu. Kiedy to zrobił, maznęła swoją parafkę i przyłożyła pieczętkę. Wyrwała dwie karteczki. Jedną podała podkomisarzowi, drugą schowała do szuflady. Potem otworzyła kasę i wyciągnęła z niej plik stuzłotówek. Na oczach Kochana odliczyła dziesięć i podała je policjantowi. Przytrzymała, kiedy je chwycił.

– Rozumiem, że sprzedawane przedmioty należą do pana? – zapytała.

Jeszcze tego brakowało, żeby nabrała podejrzeń i zadzwoniła na policję zaraz po jego wyjściu. Wyrwał jej pieniądze z ręki i szybko schował do portfela. Wyciągnął służbową legitymację i podsunął jej pod nos. Spojrzała na niego spłoszona.

– Są moje. Właściwie mojej żony – wyjaśnił. – Jej mama zachorowała. Potrzebujemy pieniędzy na lekarstwa i opiekunkę. Bo w policji to kokosów się nie zarabia.

– Tak, oczywiście. – Nerwowo poprawiła włosy. – Bardzo pana przepraszam. Pojawiają się u nas różni ludzie. Takie podejrzane typy, które...

– Rozumiem. – Przerwał, bo dostał już to, po co przyszedł, i chciał jak najszybciej wyjść. – Dziękuję za obywatelską postawę i żegnam. Muszę wracać do chorej żony.

– Teściowej – poprawiła go.

– Oczywiście. To z nerwów. Do widzenia.

Przeszedł szybko na najbliższy przystanek tramwajowy i wsiadł w dziewiątkę. Pojechał aż na koniec trasy, do pętli przy Okęciu. Tam oprócz wielkiego hotelu było mnóstwo małych hotelików i pensjonatów dla podróżnych. Takich, które mieściły się w przerobionych domkach jednorodzinnych. Akurat odpowiednie lokum dla niego. Planował zatrzymać się tam na dwa, trzy dni, wziąć kąpiel, ogolić się i wymyślić, co powinien zrobić w tej sytuacji.

Wybrał niewielki pensjonat, gdzie zapewne cały proces meldowania się polegał na przełożeniu banknotu z ręki do ręki. Mieścił się po drugiej stronie alei Krakowskiej. Poszedł do przejścia dla pieszych. Stanął na czerwonym świetle razem z kilkoma innymi osobami i czekał, aż strumień samochodów przeleje się przez ulicę, a światło zmieni się wreszcie na zielone. Wtedy zauważył policyjny radiowóz, który zwolnił w okolicy wybranego przez niego hoteliku, a potem wjechał na podwórze. Wysiadł z niego dwóch funkcjonariuszy. Jeden od razu wszedł do budynku, drugi podszedł do bramy, gdzie zaczął się rozglądać, raz po raz rzucając okiem w stronę przejścia dla pieszych.

Kochan poczuł, jak zaczynają mu się pocić plecy. Mógł się domyślić, że jeśli on wpadł na pomysł z pensjonatami na Okęciu, to inni też. Chociaż mógł to być tylko przypadek.

Policjant przy bramie patrzył teraz wprost na tłum na światłach. Podkomisarz próbował ocenić, jaka odległość ich dzieli. Kilkadziesiąt metrów co najmniej. Niemożliwe, żeby go rozpoznał. Ale co powinien zrobić, kiedy światła się zmieniają? Zawrócić czy przejść razem z innymi? Jeśli zawróci, ściągnie na siebie uwagę policjanta. Przecież rzadko się zdarza, by osoba czekająca tak długo na światłach nagle zmieniła zdanie. Ale jeśli przejdzie przez ulicę, zmniejszy dystans i zwiększy szanse rozpoznania. Wtedy jego wielka ucieczka skończy się już po kilku godzinach. Znajdą przy nim torbę podróżną z rzeczami przygotowanymi do drogi i dwa i pół tysiąca złotych. Kolejne dowody obciążające. Jakby mieli ich jeszcze za mało.

Na sygnalizatorze zgasła czerwona lampa i zapaliła się zielona. Stał bez ruchu. Począł, aż zasłoni go jakiś przechodzień, i wtedy szybko zrobił w tył zwrot i pomaszerował z powrotem na pętlę. Szedł zdecydowanym, ale spokojnym krokiem. Dwa razy zerknął w stronę policjanta. Wiedział, że nie powinien tego robić, jednak nie potrafił się powstrzymać. Funkcjonariusz ciągle stał przy bramie i patrzył na przejście dla pieszych. Nie zauważył Kochana.

Podkomisarz ostatnie kilkanaście metrów pokonał biegiem, udając, że śpieszy się na tramwaj. Wskoczył do pierwszego lepszego pojazdu. Ściągnął z głowy czapkę. Otarł nią pot z czoła. Usiadł na wolnym krześle, skulił się i opuścił głowę, jakby grał na komórce albo czytał gazetę. Chciał być jak najmniej widoczny od strony ulicy. Kiedy znów zerknął w stronę pensjonatu, okazało się, że funkcjonariusz wyszedł przed bramę. Nagle zaczął truchtać. Przebiegł szybko przez ulicę i skierował się w stronę pętli tramwajowej. Kochan śledził go wzrokiem, zagryzając zęby. Zastanawiał się, kiedy ruszą. Motorniczy siedział w kabinie. Jadł kanapkę. Policjant tymczasem przestał biec, przystanął, sapnął, a potem znowu ruszył szybkim krokiem. Kochan zastanawiał się, czy powinien teraz uciekać czy po prostu siedzieć i czekać na to, co się stanie.

Wybrał to drugie. Ale na wszelki wypadek mocniej chwycił torbę. Planował wyskoczyć z tramwaju, jeśli tylko policjant do niego wejdzie. Wszystkie drzwi z powodu włączonego ogrzewania były zamknięte, skorzysta więc z tych samych, które otworzy funkcjonariusz. Staranuje go i ucieknie najszybciej jak potrafi. Będzie miał tylko jedną szansę.

Nagle tramwaj ruszył. Powoli wyjechał z pętli. Podkomisarz odetchnął z ulgą. I wtedy zobaczył, jak funkcjonariusz staje przy kiosku znajdującym się niedaleko przystanku, wyjmując portfel, wyciąga pieniądze, podaje je sprzedawcy, a potem odchodzi z paczką papierosów w dłoni.

Gruda wszedł do pokoju podinspektora Andrzejewskiego i starannie zamknął za sobą drzwi. W pierwszej chwili trudno było uwierzyć, że niewielkie i skromnie wyposażone pomieszczenie to gabinet szefa najbardziej prestiżowego wydziału stołecznej policji.

Andrzejewski podniósł głowę znad biurka. Popatrzył na komisarza. Chrząknął w taki sposób, jakby mamrotał przekleństwo, i gestem przywołał go do siebie.

– Widziałeś się z nim? – zapytał.

– Będziemy tutaj gadać?

– A co? Mamy jechać na parking, gdzie zamienimy samochody? Albo umówimy się w jakiejś podejrzanym knajpie o zmroku? – kpił podinspektor. – Siadaj lepiej i mnie nie irytuj.

Gruda wyciągnął z kieszeni chusteczkę i otarł nos. Podeszedł do krzesła. Oparł się na nim całym ciężarem ciała.

– No i? Długo jeszcze będziesz mnie trzymać w niepewności?

– Widziałem się z nim – odpowiedział komisarz.

– I co?

– I jest ciężko. Chce, żebyśmy uciszyli Mieszka.

Andrzejewski wstał zza biurka. Wydawał się spokojny, ale szczegóły zdradzały co innego. Zaciśnięte pięści, napięte bar-

ki, ciężkie spojrzenie, w którym czaiła się niewypowiedziana groźba. Mężczyzna na krawędzi wybuchu. Gruda pomyślał, że gdyby ktoś odczytał te znaki, mocno by się zdziwił. Większość pracujących w wydziale uznawała swojego szefa za typowego biurokrate, wpatzonego w ekran komputera i pilnującego, by przede wszystkim zgadzały się cyferki. Mało kto miał okazję poznać jego drugą twarz. Twarz człowieka zawziętego, wściekłego i bezlitosnego. Teraz ten człowiek powrócił. I komisarz nie był pewien, czy to dobrze. Bo pamiętał, do czego podinspektor jest zdolny.

– Jak niby mam to zrobić? – zapytał Andrzejewski retorycznie. – Gnoj siedzi na Rakowieckiej. Co? Mam tam polecieć, teleportować się? Co on sobie wyobraża?

– Nie sądzę, żeby go to obchodziło w najmniejszym stopniu – odpowiedział po chwili Gruda. – Po co w ogóle go ostrzegałeś?

– Właśnie po to – oznajmił. – Gdyby dowiedział się o Mieszku sam, to natychmiast zacząłby gadać, a tak wie, że nie jesteśmy przeciwko niemu i ma szansę na jakieś porozumienie. Kupiłem nam czas, Gruda. Pytanie ile. – Przejechał dłonią po łysinie, jakby chciał sobie zerwać skórę z głowy. – Pieprzony Kochan! – rzucił wściekle. – Gdyby durny kutas nie wykopał tej trójki, bylibyśmy w zupełnie innym miejscu. Borzestowski mógłby sobie pierdolić, ile wlezie. I tak nikt by mu nie uwierzył.

– Właśnie, co z nim? Mają go już?

Andrzejewski pokręcił głową.

– Zniknął. Ale znajdziemy go. Żaden z niego przecież Houdini, żeby robić tutaj za mistrza ucieczek.

– To on zabił te kobiety?

– Szczerze mówiąc, Gruda, mam to głęboko w dupie. Ważne, że zostanie wyeliminowany z tej zabawy. Kto wie, jak by nam jeszcze nabruździł, a tak jest już po sprawie.

– Jaki miałby mieć motyw?

– Niech cię to nie obchodzi! Niech cię nie obchodzi nic oprócz tej sytuacji. Skup się na tym, co się dzieje tutaj – mówił gorączkowo Andrzejewski, energicznie gestykulując.

– Po prostu chcę wiedzieć, co się wydarzyło – powiedział komisarz i spojrzał znacząco na podinspektora. Andrzejewski stęknął zaskoczony, jakby dostał cios w przeponę. Zmarszczył brwi.

– Chyba nie myślisz, że... – Zawiesił głos.

– Nie.

– I dobrze. Po co w ogóle miałbym coś takiego zrobić?

– A po co zrobił to Kochan?

Podinspektor zacisnął usta, kiedy dotarło do niego, co chciał powiedzieć Gruda. Zniknięcie Kochana nie rozwiązywało wcale problemu, tylko oznaczało kolejny kłopot. Wcześniej podkomisarza można było kontrolować, pilnować. Był pod ręką. Teraz stał się jedną wielką niewiadomą. Nie wiedzieli, gdzie jest, co wie, co planuje ani co nim kieruje.

– Prawda – odparł wreszcie. – Powinniśmy to wiedzieć. Tylko że sprawa jest prowadzona przez Grodzisk i wewnętrznych. Będę się u nich dowiadywał o postępach, ale to wszystko, co mogę teraz zrobić.

– A jak góra?

– Srają w gacie. Rano miałem w tej sprawie milion telefonów, a po południu czeka mnie narada. W każdym razie wszystkim zależy, żeby jak najszybciej go dorwać. Kochan stał się naszym priorytetem.

Andrzejewski pokręcił z niedowierzaniem głową, ale na jego twarz powróciły spokój i opanowanie. Jakby dotarło do niego, że wściekanie się na cały świat niewiele mu da.

– Nie pozwolę Borzestowskiemu nas zatopić – dodał, powoli wymawiając każde słowo. – Ani nie zamierzam być jego chłopcem na posyłki. Chce się dorwać do Mieszka, niech próbuje sam.

– To co robimy? – zapytał Gruda.

– Musimy zdobyć przewagę. Chwycić Borzestowskiego za jaja i ścisnąć, aż zrozumie, że z nami się nie pogrywa.

Komisarz nagle poczuł się, jakby wrócili do dawnych czasów. Miały swoje zalety. Wtedy wszystko wydawało się prostsze. W komendzie piło się wódkę, korytarze tonęły w chmurach papierosowego dymu, tylko człowiek nigdy nie wiedział, czy wróci żywy z roboty. A nawet jak się to udawało, to potem trudno mu było patrzeć na swoje odbicie w lustrze.

– Jak?

Andrzejewski nachylił się do Grudy. Ściszył głos.

– Nie rozgłaszamy tego, ale Mieszko przyszedł do nas z czymś konkretnym. We wrześniu był z Borzestowskim na robocie. Najwyraźniej gość naprawdę mu ufał. Wparowali pewnemu biznesmenowi do domu. A potem Borzestowski obciął temu facetowi głowę.

– Pamiętam to – powiedział Gruda. – Co dalej?

– Borzestowski zachlapał się przy tym cały krwią. Skubany był przewidujący, więc wziął ubranie na zmianę. Przebrał się, a brudne wsadził do worka na śmieci i polecił Mieszkowi spalić. I wiesz co? Mieszko tego nie zrobił. Schował gdzieś ten garnitur i kusi nim teraz prokuraturę.

– Dowód materialny.

– Tak. Konkret, którego można dotknąć i pokazać w sądzie. Ubranie z krwią ofiary i śladami biologicznymi Borzestowskiego. Włosy. Naskórek. Do tego zeznanie świadka.

– On wie o tym garniturze?

– Mam nadzieję, że nie – odparł Andrzejewski. – To jest właśnie rozwiązanie naszych problemów, Gruda. Chwyć za jaja, którego potrzebujemy. Musimy znaleźć to ubranie, a kiedy będziemy je mieli, postawimy Borzestowskiemu ultimatum: albo niech trzyma głowę na kłódkę i spierdala z kraju, albo niech szykuje się na dożywocie za morderstwo ze szczególnym okrucieństwem. Jego wybór.

Książki Wojciecha Chmielarza mogłabym polecać w ciemno. Ale tego nie robię. Bo ja po prostu lubię go czytać. Precyzyjny w języku, znakomity w zaplataniu kryminalnej intrygi. Wiarygodny. Kiedy dowiaduję się, że Chmielarz pracuje nad nową książką, mam pewność, że dostanę do rąk przednią opowieść. Nie zawiodłam się i tym razem. To się naprawdę czyta!

ANGELIKA KUŹNIAK

Często się zastanawiałem, co powoduje, że Wojciech Chmielarz pozostaje niepodrabialnym zjawiskiem, osobnym w polskiej literaturze kryminalnej. I dopiero podczas lektury *Cieni* zrozumiałem. Wszystko. *Cieniami* Chmielarz po raz kolejny potwierdza swoją niezwykłą pozycję i formę pisarską na tym najlepszym z półświatków.

IREK GRIN

Niewyjaśnione zdarzenia, znakomicie nakreślone postaci, przyjaźnie wystawione na najcięższe próby, a w tle Warszawa – miasto wielkich możliwości i bolesnych upadków. Chmielarz po mistrzowsku pokazuje, że nie da się uciec od przeszłości. Ona dopada zawsze i najczęściej z nienacka...

VINCENT V. SEVERSKI

Nie znam drugiego polskiego autora, który równie wnikliwie rysuje psychikę policyjnych bohaterów. *Cienie* są najlepszą powieścią kryminalną ostatnich lat. Mistrzowska intryga, trzymająca w napięciu do samego końca i... koniec, którego nikt nie przewidzi. Chmielarz przeszedł samego siebie!

LESZEK KOŹMIŃSKI

blog.kryminalnapila.pl

cena 39,90 zł



PATRONAT MEDIALNY

w sprzedaży także



lubimyczytać.pl

POCISK
REDAKCJA LITERATURY I KRYMINALISTYKI

naszemiasto.

